Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



„Na ponowie". Rys. Jerzy Dylewski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 51—52 (655). 22 GRUDNIA 1931 R.



Na grubego zwierza w Rozhurczu. Fot. Adam Elenberger.

Z OPŁATKIEM WIGILIJNYM.

Żaden zapewne naród, nie jest tak przywiązany do tradycji obchodzenia Świąt Bożego Narodzenia, jak my — polacy.

Nawet w najskromniejszym domu, nawet wśród najbardziej, zdawałoby się, modnych haseł współczesności, zrywających z przekonaniami pradziadów i dążących do coraz bardziej luźnych metod życia, rozbłyśnie, gdzieś na dnie duszy ludzkiej spoczywająca i zaszyta — iskierka wspomnień z lat dziecięcych, z tradycyj dawnych, z obrazków miłych, jasnych a minionych.

Taka już jest tajemnica duszy ludzkiej, że bez względu na przeżycia, dąży podświadomie do powtórnego przeżywania wrażeń dodatnich.

Temi — są wspomnienia.

Świat łowiecki, pielęgnujący możliwie starannie tradycje i obyczaje dawno odeszłych nemrodów— być może, bardziej wrażliwy od śmiertelników nienależących do tego wybranego zespołu — jeszcze silniej odczuwa piękno, jeszcze mocniej przeżywa bóle, ale też i serdeczniej umie się nasycać radościami.

Komu z myśliwych nie drgnie czule ręka przy wigilijnym stole, ta sama ręka, która z mechaniczną niemal dokładnością potrafi uwolnić się od wzruszeń i emocji związanych ze strzałem do grubego i rzadkiego zwierza?

Któremu z nas, na widok jarzącego się drzewka świątecznego nie przemkną przez głowę widoki z polowań przeżytych w obecności takich samych świerczków, rosnących gdzieś w puszczach odległych i o które niejeden dziczy bok się otarł i których świeże pędy łakomie ucinały wałęsające się w spokoju, a zbrojne i zdobne w cudowne wieńce, jelenie?

Kojarzą się w ten wieczór świąteczny różne myśli, i miłe obrazy minionych lat przesuwają się w naszych oczach jak w kalejdoskopie.

W tym, dobiegającym końca, roku nienotującym w swych kronikach wielu świetlanych projektów dla ludzkości, roku ciężkim jak czas przed burzą, — a żegnanym przez większość bez żalu, — nie od rzeczy byłoby też przypomnieć sobie o pracy, która zostaje po za nami, a która konsekwentnie zmusza nas do dalszych planów, projektów, do nowych wysiłków, jakich się zawsze podjąć jesteśmy gotowi — dla ogólnego dobra, dla społeczności całej wogóle, a myśliwskiej— w szczególności.

Powiedzmy sobie otwarcie i trzeźwo, że skutkiem powszechnych warunków egzystencji i nam było ciężko, — ale nie mamy powodu i nie wolno nam

się godzić z brakiem wiary w lepsze, jaśniejsze jutro.

Nie chcemy, nie wolno nam opuszczać rąk i zdać się na łaskę innych, nam, polakom zajmującym w dzisiejszym, europejskim świecie myśliwskim przodujące miejsce, dzięki bogactwom fauny naszej Ojczyzny.

Łamiemy się opłatkiem wigilijnym nietylko z rodziną najbliższą, nietylko z myśliwymi swego kraju i ziomkami, ale też i ze światem łowieckim innych narodów, — stale jednak mając na uwadze własną godność narodową, która, poparta wydajną, planową pracą i wysiłkami ogółu, -- ma wyjednać dla nemrodów polskich to znaczenie międzynarodowe, na jakie stać nas z łaski Tego, Który się dziś narodzi.

Popatrzmy za siebie, wstecz.

Zdobyliśmy trzy opuszczone przez wrogów rewiry — dzielnice, tak nędzne a tak niezorganizowane, że niejeden może być dumny z rezultatów kilkonastoletniej pracy, po uciążliwej konsolidacji całości naszego życia społecznego.

Nasz świat myśliwski może z całą ufnością patrzeć teraz w przyszłość, bo stanowi w całym kraju jedną już zżytą i silnymi węzłami złączoną rodzinę.

Krajowa, ogólna organizacja nasza łączy się z myśliwymi całego świata za pośrednictwem Conseil International de la Chasse w Paryżu, czyli wszechświatowego związku myśliwskiego, obejmującego czterdzieści przeszło Państw starego i nowego światów.

Za dowód, że mamy prawo pretendować do odegrania przodującej roli w tych poczynaniach, może służyć fakt wyboru naszego Prezesa Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Juljusza hr. Bielskiego na zaszczytne stanowisko Wice-Przewodniczącego wspomnianej organizacji światowej.

Zaczęliśmy też wdzierać się z naszymi produktami łowiecko - hodowlanymi do tych państw europejskich, które skutkiem różnych warunków są znacznie uboższe w zwierzynę od nas. Zorganizowaliśmy eksportowy handel zwierzyną, i naprawdę z wielkiemi trudnościami, a nawet nieuczciwą konkurencją obcych walczymy i walczyć będziemy, aby nie zaniechać tych wszystkich środków, które postawią nas w przyszłości już może niedalekiej — w gronie narodów szczycących się swem łowiectwem.

W wewnętrznem naszem życiu też dajemy sobie radę zupełnie nienajgorzej.

Dochowaliśmy się, dzięki dotychczasowo obowiązującemu prawu — zupełnie dobrych zwierzostanów, a dążąc do coraz znaczniejszego udoskonalenia i uporządkowania naszego gospodarstwa, opracowaliśmy w tym roku projekt nowego prawa łowieckiego.

Czy i jak formy tego prawa wpłyną na polepszenie naszego życia myśliwskiego, pokaże przyszłość, ale faktem pozostanie podjęcie się tej trudnej i uciążliwej pracy, którą świat myśliwski wykonał bezpośrednio przy udziale swych wiernych, a wybitnych przedstawicieli.

Jesteśmy w pełni sezonu, który wskazuje, że pomimo licznych braków w naszem życiu, wydźwignęliśmy się do takiego stanu jednak, który już teraz zmusza do zastanawiania się nad zagadnieniem nadprodukcji zwierzyny kulturalnej.

Że nie wszędzie stan ten jest jednakowy,—zależy to właśnie od wszystkich. I od tych, którzy już zrozumieli konieczność współpracy społecznej w myślistwie, i od tych, którzy dotychczas nie mogą się zdobyć na krztę ofiarności.

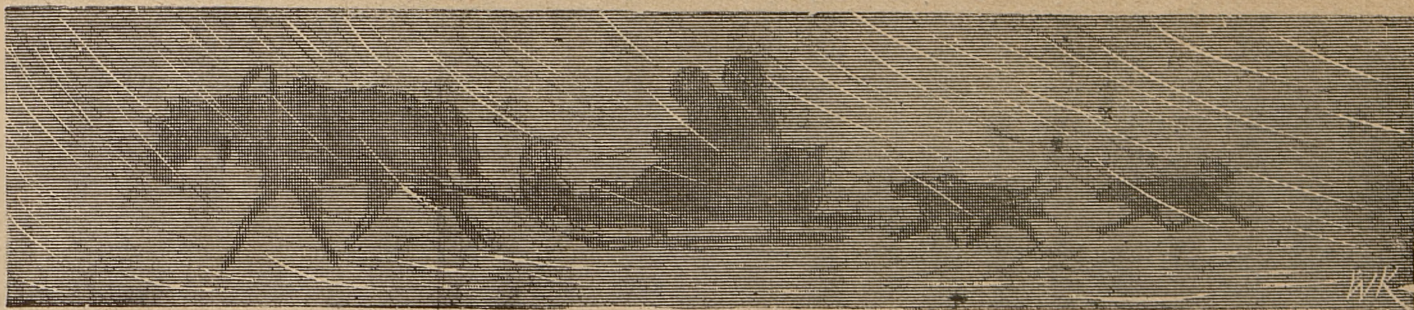
Ale to przyjdzie. — Wierzymy i jesteśmy tego pewni, że to zrozumienie przyjść musi.

Więc, gdy się przy choince na chwilę zamyślimy o tem, co było, i o tem, co nastąpi, — niech każdy myśliwy patrzy w ten przyszły rok z ufnością i radością a jednocześnie i postanowieniem silnem, niezłomnem, męskiem i stanowczem, że przecież musi być dobrze, musimy się ucieszyć za rok i podzielić tą wiadomością najradośniejszą, że jak w 1931-ym pozostawiliśmy szmat wysiłków, pracy i jej rezultatów po za sobą, tak w roku nadchodzącym, złączymy się wszyscy „wspólnymi łańcuchy", — aby zdobyć i zorganizować bez wyjątku wszystkich, którzy się zwą tymczasem tylko naszymi przyjaciółmi.

Tradycyjny opłatek niech umocni to postanowienie, a świadomość jaśniejszej przyszłości stanie się rzeczywistością.



Włodzimierz Walery Barański z ubitym wilkiem i dzikiem (Do art. „Na wilki i dziki" na str. 1035).



KRES POLOWANIA Z OGARAMI.

Na olbrzymim obszarze województw północno-wschodnich naszego państwa, a częściowo, o ile mi wiadomo, na obszarze województw południowo-wschodnich polowanie z ogarami jest po dziś dzień ulubionym sposobem łowów jesienno-zimowych. Składa się na to wiele przyczyn. Po pierwsze właśnie na tych ziemiach ostały się najdłużej tradycje dawnych „wielkich łowów", nietknięte nowoczesną komercjalizacją łowiectwa na Zachodzie, niedopuszczające jeszcze innego pojmowania łowiectwa, jak tylko doraźne i bez oglądania się na jutro wyładowywanie prainstynktów łowieckich przy akompanjamencie wrzasków psiarni i trąbek dojeżdżaczy... Po drugie — na tych jeszcze ziemiach pozostały wielkie przestrzenie niezasiedlone przez ludzi wcale a przez zwierzynę w ilości w stosunku do obszaru niedużej, — gdzie z jednej strony polowanie z gończymi może się jeszcze odbywać z ladajakiem poszanowaniem cudzych granic, gdzie z drugiej strony — przy minimalnej ilości zwierzyny tylko ten sposób łowów „opłaca" stratę czasu i fatygi... Po trzecie — gon ogarów będzie dla każdego myśliwego w każdej długości i szerokości geograficznej owiany nieodpartym „czarem gonu" uwiecznionym brylantowymi zgłoskami na ostatnich stronicach „Sobola i Panny"... Po czwarte wreszcie — jeden jedyny szarak zdobyty po kilku godzinach przemyślnego zabiegania na przesmyki, naprowadzania gończych, nasłuchiwania zbliżającej się zdala melodji gonu, stanowi dla prawdziwego myśliwego większą wartość i większe „praetium affectionis" niż dziesiątki podobnych szaraków zrulowanych na polowaniu w kotły na Zachodzie.

Jakże wielką musi być żałość zarówno myśliwych starego autoramentu, jak i myśliwych młodszych, lecz rozumiejących, w czem tkwi prawdziwe piękno myślistwa, na myśl, że w obecnych warunkach łowy z ogarami dobiegają kresu swego kilkunastowiekowego, romantycznego bytu, i że za jakieś dwadzieścia lat wyraz „gończe" stanowić będzie w Polsce piękny, lecz pusty dźwięk przeszłości.

Wszyscy uświadamiamy sobie — mniej lub więcej dokładnie, — że polowanie z gończymi dobiega kresu. Na pytanie „dlaczego"? większość z nas odpowiada: „dlatego, że polowanie z gończymi jest szkodliwe dla zwierzostanów". Odpowiedź taka jest trafna, natomiast mniej trafne bywają odpowiedzi na pytanie trzecie (pochodne): „dlaczego właśnie polowanie z gończymi ma być szkodliwe"?

Myśliwi - hodowcy wiedzą, że jednym z podstawowych warunków rozmnoży zwierzyny jest spokój w łowisku. Z tego punktu widzenia taka np. krowa jest w pewnych warunkach straszliwszym „zwierzem" w rewirze, niż lis lub jastrząb-gołębiarz, a przeto walka z wypasem bydła jest nie mniej doniosła, niż walka z kłusownictwem lub wnykarstwem. Otóż panuje rozpowszechnione mniemanie, że polowanie z gończymi w sposób szczególny niepokoi zwierzynę i że właśnie w tem tkwi szkodliwość tego sposobu łowów. Mniemanie takie jest słuszne li tylko w części nieznacznej. Jeżeli amator gończaków jest równocześnie myśliwym prawidłowym i dbałym o rozmnożę zwierzyny, to trzyma w sezonie martwym „pieski" na uwięzi lub w zagrodzie i nie dopuszcza do włóczenia się gończych samopas, zwłaszcza w okresie lęgowym. Myśliwy taki trzyma gończe pod dalszym warunkiem, że posiada odpowiedni (pod względem przestrzeni i figury) teren myśliwski i że polowanie urządza nie częściej niż kilka razy w sezonie i to w miarę możności — za każdym razem w innej części terenu. Przy tak pojętem — prawidłowem traktowaniu polowania z gończymi, moment „niepokojenia" zwierzyny spada do zera. Zapewne, że mamy sporo jeszcze myśliwych, których gończe hasają przez rok okrągły po własnych i cudzych lasach i którzy z nastaniem sezonu polują z pieskami dzień w dzień bez przestanku. Lecz czy taki system jest o wiele szkodliwszy od uprawianego (niestety — dość często) systemu kilka lub nawet kilkanastokrotnych naganek w tych samych miotach w ciągu jednego sezonu? Mam przekonanie, że takie wielokrotne naganki bardziej wypłaszają i przetrzebiają zwierzynę niż codzienne nawet gony ogarów. Na obszarach większych i w zwierzynę niebogatych (a tylko na takich obszarach o polowaniu z gończymi wogóle można mówić w myśl zasady: „niema dużo zwierzyny, gdzie są gończe, i niema gończych, gdzie jest dużo zwierzyny") pies a nawet cała sfora psów goniących zwierza głosem jest jakgdyby jednym z naturalnych elementów kniei, czemś, co w jej debrach jest o wiele mniejszym dysonansem niż kroki, nawoływania i jazgot paru dziesiątków „huczków". Każdy bowiem system może być dobry i zły, w zależności od umiaru w jego stosowaniu. Naganki lub sztrejfy (nie mówię już o kotłach!) uprawiane z pasją przez nemrodów nieliczących się z zasadami hodowli, mogą być i często bywają groźniejsze dla zwierzyny niż najzajadlejsze łowy z ogarami.

W czem więc tkwi szkodliwość gończych?

Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie zro-

bić pewną małą dygresję, nieco uczuciową, w krainę lat dziecinnych. Kilka lat przed wojną, gdy stawiałem pierwsze swoje kroki myśliwskie w majątku naszym w Mińszczyźnie, — pod nadzorem i egidą starego gajowego - raubszyca, jedynym sposobem polowania na zające i lisy było polowanie z gończymi. (Ta okoliczność niech świadczy na korzyść mego objektywizmu w „kwestji gończej", gdyż wiadomo, że najwięcej sentymentu budzą te rodzaje łowów, z którymi łączą się wspomnienia wczesnej młodości, a ja jestem dziś zdecydowanym przeciwnikiem polowania z ogarami). W pamięci utkwił mi pewien drobny epizod, gdy czatowałem na przesmyku lisim w mocno podszytym świerczyną borze, delektując się rosnącą kaskadą gonu dwóch ogarów pędzących lisa, który właśnie zrobił „kółko" i zbliżał się gdzieś ku memu stanowisku.

Gajowy uśmiechnął się z politowaniem i powiedział:

— Polujemy na granicy, lis ruszony w naszym lesie, a dla psów niema granicy...

Ta maksyma, że „dla psów niema granicy", był w owych, niezbyt odległych czasach, bo przed 20—25 laty, naczelną zasadą łowiecką, obowiązującą wszystkich myśliwych na olbrzymich obszarach dawnych Kresów Rzeczypospolitej od Niemna i Bugu do Dniepru oraz od Dźwiny — hen — aż chyba do morza Czarnego. Szkodliwość i anachronizm tej maksymy trącącej epoką Pana Tadeusza, rozumiały wtedy literalnie nieliczne jednostki zakładające u siebie ku zdumieniu i politowaniu sąsiadów, hodowle zwierzyny. Maksyma ta miała wtedy o tyle pewną rację bytu, że myśliwych trzymających psy gończe, nie było



Rozkład. (Do art. „Na wilki i dziki" na str. 1035).

Nagle usłyszałem szybkie kroki i gajowy ujął mnie za łokieć:

— Panicz, na granicę...

Byłem jeszcze początkującym myśliwym i jakkolwiek miałem słuch niezły, lepszy nawet niż mój mentor - gajowy, nie potrafiłem w dźwiękach gonu pochwycić najważniejszego momentu: zmiany kierunku gonu wbok. A lis zdecydował zmienić swe ulubione przesmyki i zmykał wyraźnie na lewo, co w porę schwycił uchem narazie tylko gajowy. Podążyłem więc za gajowym najpierw przyśpieszonym krokiem, potem biegiem. Gdy wreszcie zdyszani zwolniliśmy kroku na ścieżce granicznej, usłyszałem wyraźnie zbliżający się gon — dźwięczący po gęstych młodniakach na gruntach sąsiada. Ogarnęły mnie pewne skrupuły i powiedziałem szeptem gajowemu:

— Ależ to cudzy las...

wielu, obszary zaś od 1000 do 2000 hektarów stanowiły wówczas na ziemiach wschodnich (mówię w szczególności o ziemiach: mińskiej, mohylewskiej i witebskiej) bynajmniej nie jakieś latyfundja, lecz przeciętne, „średnie" majątki ziemskie. Ale w obliczu prawa i wtedy maksyma powyższa była typowem pogwałceniem praw granicznych i ostawała się tak długo dzięki panującym zwyczajom, bierności drobnych właścicieli i obojętności dla tych spraw, obszarników-niemyśliwych.

Otóż w Polsce odrodzonej nawet na jej wschodnich rubieżach trzy te czynniki (zwyczaj; bierność włościan; obojętność ziemian - niemyśliwych) prawie całkowicie przestały istnieć. Wyrósł natomiast potężny kontr - czynnik w formie gwałtownego skurczenia się większej własności ziemskiej. O ile na dawnych „prawdziwych" Kresach Rzeczypospolitej, przez któ-

re rozumiem całą dawną Litwę i Ruś plus Inflanty, a których tylko część niedużą przyznał Polsce osławiony Traktat Ryski, majątek ziemski, 1000-hektarowy stanowił własność średnią, o tyle dzisiaj obszary powyżej 500 hektarów stanowią wciąż rzadsze wyspy i wysepki. (Tak np. są powiaty w t. zw. województwach wschodnich, gdzie ziemian posiadających powyżej 500 ha, można wyliczyć na palcach i gdzie przeciętnym typem ziemianina jest właściciel od 100 do 200 ha). Pierwszy czynnik, o którym wspomniałem, a który sprzyjał przed wojną rozwielmożnieniu się łowów z gończymi — zwyczaj — przestał istnieć całkowicie. Zwyczaj został zastąpiony przez prawo pisane, aż nadto może wyraźnie i szczegółowo przeprowadzające zasadę, że „prawo polowania związane jest z własnością gruntu". Toteż i drugi czynnik — bierność mas włościańskich — został potężnie podważony. Idylliczny obrazek, że kmiotek-poleszuk lub kmiotek-wileńczuk przypatrują się z rozrzewnieniem i niemą zachętą paniczom włóczącym się z psami po ich „sznurach" lub zagajnikach, należy już dziś do nadzwyczajnej rzadkości. Dziś kultura zachodnia, krzewiona powoli (zdaniem niektórych: zbyt powoli) przez referaty karno - administracyjne naszych starostw, robi jednak zwolna swoje. Kmiotek już dziś nie tylko patrzy niechętnie, lecz wręcz ostro protestuje, gdy granicę jego przekroczy pan z flintą lub pies. A jeśli nadomiar on sam lub jego ziomek odczuli na własnej skórze represję „wynikającą" z prawa łowieckiego, wtedy wspomniany wyżej obrazek idylliczny znajduje swój wyraz w „protokule zameldowania" spisanym na posterunku policji. Nie ulega kwestji, iż otrząśnięcie się włościaństwa ze stanu bierności przypisać należy nie tyle zbłądzeniu pod strzechy zasad kultury łowieckiej, ile pewnej dobrodusznej „Schadenfreude" naszego ludu. Tak czy inaczej włościanin nasz potrafi dziś bronić swego gruntu nietylko przed złodziejem lub wypasem, lecz również przed psem i myśliwym. Nareszcie trzeci czynnik — obojętność dla myślistwa ziemian niemyśliwych — również dogorywa powoli. Tu rzec można, że ziemianin-niemyśliwy został w tym pomyślnym dla łowiectwa procesie zdystansowany przez kmiotka-raubszyca. Ostatni broni zaciekle świętości swych granic i przeciwstawia się „odgórnemu" kłusownictwu, może z pobudek niezbyt szlachetnych, lecz przeciwstawia się. Natomiast obszarnik - niemyśliwy nic się nie troszczy o swe tereny i toleruje na nich zarówno „odgórne", jak i „oddolne" kłusownictwo*). Takich jednak ziemian spotykamy coraz mniej. Nawet w województwach wschodnich... Natomiast wciąż wzrasta w siłę oraz w zasiąg dobrego przykładu i sąsiedzkiego oddziaływania, zastęp ziemian-hodowców. Obwody własne, będące zarazem pierwszemi u nas na Wschodzie próbami hodowli zwierzyny, rosną wprawdzie liczebnie z roku na rok, lecz są jeszcze rozsiane jak wysepki, wśród morza dziczy łowieckiej. I właśnie w imię stworzenia dla tych pepinjer łowiectwa, możliwych warunków egzystencji, należy stanowczo i po męsku powiedzieć: musimy gończe stopniowo likwidować!

Jakże często zwraca się do mnie, jako do „urzędowego" opiekuna łowiectwa, jeden z takich myśliwych-hodowców i żali się:

— Poradź, co mam robić. Wiesz, że hoduję zwierzynę, trzymam dobrą straż łowiecką, daję zającom marchew, stawiam paśniki dla sarn, zabijam rok rocznie po setce kundli i kotów. A ten kochany sąsiad X trzyma gończego, który hula po moim lesie rok okrągły...



Rulujący zając. Fot. Jan Bończa Markowski.

Co mam odpowiedzieć? Czy mam otworzyć prawo łowieckie i przeczytać postanowienie art. 36, że uprawniony do polowania ma prawo zatrzymać psa myśliwskiego włóczącego się w obwodzie? Albo może mam poradzić, by biedny myśliwy hodowca dochodził swych strat „na drodze cywilnej", która to droga wymaga przedewszystkiem udowodnienia strat?... Sumienie myśliwskie nakazuje mi więc taką odpowiedź:

— Przy pierwszej okazji zastrzel mu psa, a będziesz miał doraźny spokój w lesie i postrach na przyszłość. Zastrzel ostrożnie, bo inaczej będziesz odpowiadał przed sądem za „uszkodzenie cudzego mienia". A zresztą — sądzę, że dla satysfakcji pozbycia się tego psa, nie pożałujeszcz 50 zł. grzywny, która ci wymierzy sędzia grodzki?...

*) Pozwoliłem sobie — dla przejrzystości stylu — użyć wyrazów, które, być może, nie mają jeszcze pełnych praw obywatelstwa w mowie polskiej Nie wdając się w gramatyczne uzasadnienie tych quasi-nowotworów, pragnę wyjaśnić, że przez „oddolne" kłusownictwo rozumiem kłusownictwo uprawiane przez nieuświadomione jeszcze masy włościańskie („od dołu"), — przez „odgórne" — kłusownictwo popełniane przez ludzi, którzy powinni służyć za przykład dla mas ciemnych („od góry").

Porada taka ma tę świetną stronę, że jest prosta w konstrukcji i praktyczna w wykonaniu. Lecz tę stronę dodatnią zaciemnia całkowicie strona ujemna. Porada taka jest nietylko „grzechem cudzym" z punktu widzenia etyki, lecz również — pospolitem podżeganiem do przestępstwa z punktu widzenia kodeksu karnego. Prowadzi ona do podważania prawa wogóle, a takie podważanie, stosowane jako system, może mieć wręcz nieobliczalne i groźne skutki dla samego łowiectwa. To też porad takich udzielam z wielką oględnością i tylko osobom zaufanym i pewnym. Lecz udzielać muszę, mimo ich wyraźną bezprawność, gdyż z tak groźnym wrogiem myśliwego-hodowcy jak cudzy pies gończy, walczyć należy radykalnie.

Natomiast otwarta jest kwestja zmiany przepisu art. 36 prawa łowieckiego. O zmianie tej napomknąłem w konkluzji feljetonu mego „Pies włóczący się" („Łowiec Polski" Nr. 19, z r. 1931). Feljeton ów potraktowałem humorystycznie, lecz konkluzję dałem zupełnie poważną. Pies włóczący się jest jedną z groźnych plag naszego łowiectwa, jedną z plag najgroźniejszych. *Myśliwski* pies włóczący się jest groźniejszy od kundla właśnie z tej racji, że jest myśliwski. Gończy pies włóczący się, lub raczej — hasający jest zjawiskiem codziennem. Inny pies myśliwski włóczący się, np. wyżeł, jest zjawiskiem rzadszem; zdarza się zaś nietylko w powieściach Dygasińskiego, lecz i w życiu. To fakt pierwszy. — Pies myśliwski włóczący się, t. j. pozostawiony bez dozoru swego pana jest, lub przynajmniej powinien być, zjawiskiem rzadkiem, zwłaszcza jeżeli chodzi o psy niegończe (np. wyżły), zjawiskiem, które świadczy zarówno o małem zainteresowaniu się psem u właściciela, jak i o niskiej kulturze łowieckiej tegoż właściciela. To fakt drugi. Wreszcie — prawdziwy myśliwy długo się namyśli i dużo sobie krwi napsuje, zanim zdecyduje się poczęstować psa *myśliwskiego* ładunkiem śrutu. To fakt trzeci. Te trzy fakty razem zestawione, doprowadziły mnie ongiś i doprowadzają obecnie do zrobienia śmiałej konkluzji: prawo powinno zezwalać *myśliwemu* na zabijanie wszelkich psów, a więc i myśliwskich, szwendających się po obwodzie.

To, co wyżej napisałem, może zrobić na czytelnikach przykre wrażenie, że autor jest „krwiożerczo" nastrojony przeciwko psom w ogólności, a przeciwko psom myśliwskim, zwłaszcza gończym, w szczególności. Tak nie jest. Autor nietylko przez legitymowaną przynależność do Towarzystwa opieki nad zwierzętami, lecz i przez wrodzoną każdemu myśliwemu animalofilję — lubi zwierzęta i rad byłby, by zwierzętom, zarówno swojskim, jak i dzikim, nie działa się żadna krzywda. Zwłaszcza obdarzam szczerym, w dzieciństwie jeszcze zaszczepionym sentymentem owe pieski — czarne, bure, lub rudawe — cętkowane lub w białe łaty — a zawsze podpalane — słowem: gończe. I prawdziwy, niefałszowany żal ściska mi serce na myśl, że może już nigdy nie doleci mych uszu urywane „doławianie się", które stopniowo — jak brawurowa uwertura, uderzy w chwytający za krtań, potężny akord „ruszenia", by potem przejść w jękliwą fugę „gonu".

Jednak sentyment — sentymentem, to jedno, a co innego wyrozumowana na zimno konieczność zdecydowania się na radykalną operację. A operacja taka jest konieczna, jeżeli pragniemy olbrzymie obszary naszych województw wschodnich podźwignąć do należytego, pod względem łowieckim, poziomu.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.

Z konkluzją Szanownego Autora, że powinno być wolno zabijać włóczące się psy myśliwskie, zgodzić się nie można. Byłoby to uniemożliwieniem wogóle polowań z psami, którym tak ważna rola i z punktu widzenia hodowli zwierzyny się należy. Proszę tylko pomyśleć, jaką rolę z tego właśnie punktu widzenia przeznaczają psom niemcy. Żaden pies nie urodził się jednak odrazu absolutnie posłusznym, trudno mu też wpoić pojęcie granicy rewiru. Każdy więc pies w ciągu swego żywota, szczególniej w młodości, musi „naruszać granice", przyczem niekoniecznie w szkodliwy dla zwierzostanu lub jego spokoju, sposób. Pozatem psy myśliwskie przedstawiają przeważnie wielką wartość, zarówno pieniężną, jak i z punktu widzenia „praetium affectionis" ich właścicieli, a utrata takich psów stoi w niepomiernym stosunku do ewentualnej szkody, jaką mogą wyrządzić. Kłusownik jest też szkodnikiem, a jednak zniesiono karę śmierci za kłusownictwo, która w średnich wiekach przecież istniała. Trudno więc karać psa myśliwskiego śmiercią za kłusownictwo mimowolne, częstokroć zaś za zwykłe naruszenie granicy. Co do zmierzchu ogarów, przepowiednię Autora też należy uważać za przedwczesną. Nie wszystkie rewiry, choć na nich znajduje się trochę zajęcy, nadają się do ich hodowli. Niekoniecznie też można polować z ogarami tylko w obwodzie własnym, można przecież dodzierżawić potrzebny obszar, co na Kresach tak drogo znów nie kosztuje. Nie tu więc leży niebezpieczeństwo dla przyszłości ogarów. Niebezpieczeństwo dla przyszłości polowań nietylko z ogarami, ale wogóle z psami, tkwi w topniejącej wciąż liczbie prawdziwych myśliwych i wypieraniu ich przez zwykłych amatorów jaknajczęstszego strzelania. Tym ostatnim chodzi o zabijanie już nie „zwierzyny", której gatunków nawet rozróżnić częstokroć nie potrafią, i o której mają bardzo odległe pojęcie, lecz poprostu o zabicie jakiejkolwiek „kreatury". Jeśli się pod tym względem upodobania świata łowieckiego nie zmienią na lepsze, to istotnie z przyszłością polowań z psami będzie źle. *Przyp. Red*



Rogacz we wnyka.
Fot. Jan Kwiatkowski, leśniczy, w Łapajówce.

NA WILKI I DZIKI.

Zima 1930/31 r. miała się już ku końcowi, ale jeszcze stoki Karpat pokryte śniegiem głębokim, „związane" wody, w innych porach roku wartko ku dolinom płynących potoków. Na równinach małopolskich już miejscami idą pierwsze zwiastuny zbliżającej się wiosny (choć złudna to była, jak się później okazało, nadzieja) ale tu na „Podkarpaciu" i na pierwszych skłonach Karpat jeszcze żadnej o niej wiadomości. Lodowo-zimny wiatr wieje od dzikiej, a pełnej piękna i tajemniczości, głębi karpackich puszcz, od śniegu nawet jeszcze w maju ubielonych, a jak fale morza, spiętrzonych szczytów wysokich Karpat z majestatycznymi „Gorganem Iłemskim", „Pustoszakiem", „Jajkiem Lolińskiem", „Wierch - Mołodą", „Grotą", „Wielką Popadją", „Wysoką" i „Sywulą" na czele.

Las zamarł w potężnym mrozie a poważną jego ciszę przerywa tylko stukot dzięcioła na szczycie suchego dębu czy zmurszałego buka lub chrzęst twardej skorupy śnieżnej pod badylami lub rapetami ku paśnikom (żerowiskom) dążącej zwierzyny. I nicby nie przerywało tych, tak pięknych dla myśliwego-hodowcy chwil, gdyby nie płowi rabusie kniei, wilki! Mimo silnego przetrzebienia, dzięki któremu stan jeleni i sarn tak wybitnie się poprawił, jeszcze ciągle w tutejszych podkarpackich kniejach robią one znaczne spustoszenia w zwierzostanach, większe niż w głębokich górach. Dotychczas miały one specjalne szczęście, gdyż w tej zimie chybiono trzy wilki podczas polowań naganowych. Aż nareszcie nadeszła chwila odwetu: „Hallo, w Lubienieckiem otropione trzy wilki, przyjeżdżaj natychmiast" przyniósł radosną wiadomość telefon. Odłożyłem słuchawkę, przepełniony nadzieją, że może który z krwiożerczych, bezlitosnych rabusi zakończy dziś swój drapieżny żywot. Wkrótce pomknęły sanie po białej płaszczyźnie ku Górno-Łukawickiej kniei. W oznaczonym czasie zjechaliśmy się na t. zw. „Cegielni", gdzie czekała już naganka i strażnicy. Miot został dobrze obstawiony myśliwymi, tak, że wszyscy staliśmy na miejscach, gdzie innemi laty do wilków strzelano. A sławny to ten miot „Lubieniecki", niejeden wilk w nim poległ, nie mówiąc już o „czarnym" zwierzu, którego miot ten jest głównem miejscem pobytu. Stanąłem na stanowisku, mając po lewej ręce jako sąsiada, brata Tadeusza, po prawej pana Scheumanna, łowczego braci. Dalej za p. Scheumannem stał brat Eustachy. Śniegu dużo, gałęzie świerków pokryte grubą warstwą okiści, typowy „las zamurowany". Mgła i okiść nadawała kniei tajemniczy charakter t. zw. „suchej kniei". Trąbka odezwała się w oddali, gon rozpoczęty. Zamieniłem się cały we wzrok i słuch. Ten ostatni zmysł jednak nie wiele mógł mi być pomocnym w dniu dzisiejszym. Po dłuższej chwili zauważyłem dużego wilka, który po wyjściu ze świerczyny szedł przez młodą grabinę, ku mnie, na „kulawy sztych". Gdy się wysunął na ścieżkę od mego stanowiska w głąb miotu, biegnącą na około 30 kroków, strzeliłem, wilk padł w ogniu. Była to duża, stara wadera. Drugi wilk przeszedł obok p. Scheumanna, niestety, zapóźno przez niego zauważony, bez strzału. Tylko brat Eustachy, ze swego stanowiska na około 120 kroków posłał za nim beznadziejną kulę. Trzeci wilk wyszedł nieobstawionem stanowiskiem, naturalnie bez strzału.

Mimo że nie mieliśmy zamiaru dnia tego na dziki polować, ulegliśmy jednak prośbom straży leśnej i postanowiliśmy zapolować w niezbyt daleko położonym miocie, t. zw. „Stawy", gdzie były otropione: dwa odyńce, jeden wycinek i stadko z 8 sztuk złożone. Wkrótce staliśmy już na stanowiskach, a trąbka oznajmiła znów rozpoczęcie gonu. Mój poczciwy „Box" zaczął atakować, a potężne „garbusy", zbudzone z miłej drzemki, szły zdecydowanie na niechybną śmierć ku przesmykom, które obstawiliśmy; kilka suchych strzałów sztućcowych i 3 grube dziki legły u stóp starych buków i dębów.



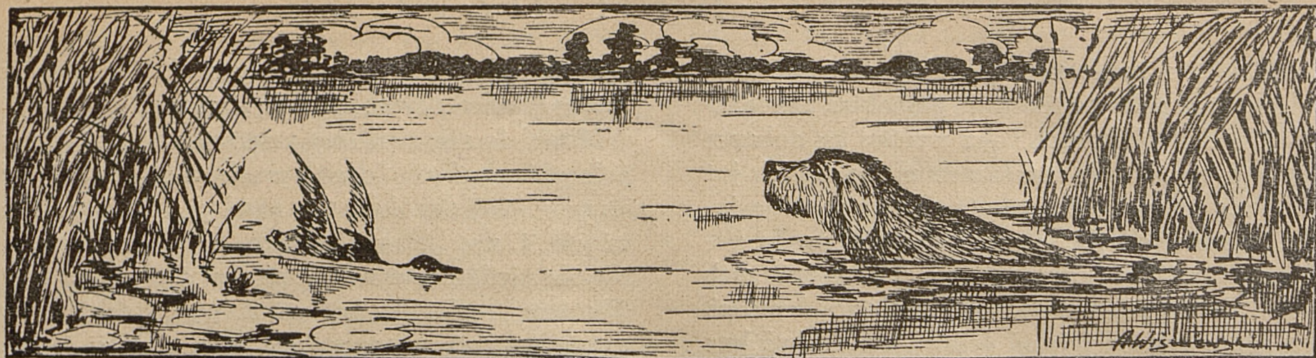
Z naganką. Fot. dr. K. Wize.

Ja zabiłem 1 dzika a brat Eustachy dwa. Pan Scheumann i brat Tadeusz, niestety, nie strzelali, gdyż reszta dzików poszła po strzałach na nieobstawione skrzydło, uchodząc ku górnym partjom kniei.

Na zakończenie podam, że tej zimy zabiliśmy na terenie kniei Rozhurcze, Siemiginów, Łukawica-Górna, razem 26 dzików, 1 wilka.

Znaleziono na terenie rewirów Rozhurcze i Siemiginów 28 sarn i 3 łanie rozdarte przez wilki, a na terenie rewiru Łukawica-Górna 8 sarn i 1 łanię.

WŁODZIMIERZ WALERY BARAŃSKI.



PRAWDZIWE ZDARZENIE.

Myśliwy to szczęśliwy człowiek, bo czyż może kto mieć tyle pięknych i dziwnych przygód jak on?

Powiadają ludzie, że to blaga lub przesada, gdy zacznie jakiś amator polowania opowiadać swe najprawdziwsze zdarzenie. Bo czy uwierzy kto kiedy, gdy powie pewien wielki myśliwy z Kujaw: „Zabiłem białą wronę", lub inny, że zrobił dubleta pod Warszawą do białych kuropatw? Nie. — Tymczasem wrona biała jest już wypchana i znajduje się w Kościelcu*), a białe kuropatwy ubito w Zaborówku i działo się to wszystko niecały rok temu.

Albo dałby kto wiarę takiemu wypadkowi, który się przytrafił zeszłego roku na polowaniu w Lesznie, a stało się to na oczach 10 myśliwych i całej naganki: Strzela gość do kuropatwy w sztrajfie, spada zbarczona i zaczyna wyciekać brózdą, za nią biegnie chłopak i myśliwy; nagle z kartofli wyskakuje lis, porywa kurę i ucieka z przed nosa osłupiałego strzelca, który zapomina języka w gębie... Przepraszam, chciałem powiedzieć, strzelby w ręku.

Wyobrażam sobie, jakby mu uwierzono, gdyby mu się to przytrafiło samemu bez świadków. Blaga, blagier... Co on za głupstwa opowiada — posypałoby się ze wszystkich stron i biedak po pewnym czasie sam zacząłby wątpić o prawdziwości swoich słów.

Pod tym względem jesteśmy bezwzględnie upośledzeni, nikt myśliwym nie wierzy, gdy zaczną opowiadać trochę barwniejszą przygodę. Ponieważ jednak „Łowca P." czytają przeważnie myśliwi, a profani, w szczególności zaś wszystko krytykujące, starsze panie mało się interesują literaturą łowiecką, więc zaryzykuję opowiedzieć, co mi się przytrafiło tego lata.

A było to tak... Pewnego dnia postanowiliśmy wybrać się z kolegą, kochanym Tadeuszkiem K. na ciągi kaczek. Wcześnie, o drugiej rano obudził nas stróż nocny, — przypuszczam, że biedak pożyczył od kucharki budzika, żeby nie przespać tej godziny, bo stróż nocny tem się różni od innych ludzi, że jest w stanie spać cały dzień i całą noc.

Ubrawszy się szybko, wychylam nos przez lufcik, mgła gęsta jak wata, zalega nad jeziorem i lasem; cóż robić, może się uda mimo wszystko , wszak kaczka i przez mgłę trafi do jeziora, to może i ja trafię do kaczki. Wyruszamy kałamaszką w drogę po „austrjackiej szosie"... Przypuszczam, że C. K. armja używała tego środka jako obrony przed wypadami kawalerji nieprzyjacielskiej, bo niepodobna po tych nieociosanych balach ułożonych na drodze, jechać inaczej jak stępa. Raz spróbowałem ruszyć kłusa, po pięciu minutach dostałem kolki, zęby mnie bolały od dzwonienia, a konie mało nóg nie połamały.

Jedziemy więc, a raczej wleczemy się noga za nogą, powoli zaczyna szarzeć... Po godzinie trzęsionki, stajemy na miejscu, to jest po drugiej stronie jeziora, gdzie kaczki miały niebawem nadlecieć. Postanowiliśmy z Tadeuszem, który miał długie, gumowe buty, że on zostanie na brzegu w trzcinach, ja zaś wsiądę do łódki i też ukryty w sitowiu przy wysepce będę czekał na powracające z żeru kaczusie.

Po długiem manewrowaniu łódką, gdyż o wiosłowaniu nie mam wielkiego pojęcia, znalazłem się w końcu na miejscu, gdzie miał być najlepszy ciąg.

Ułożywszy wiosła na dnie łódki, nabiłem strzelbę i czekam cierpliwie, wpatrując się w biel otaczającej mnie mgły, która zazdrośnie zasłania wszystko, co się dalej znajduje. Wtem wprost przedemną zaczęło się coś pluskać w jeziorze, i to głośno tak, jakby z dwóch ludzi wiosłowało. Co za licho może o tej porze się tu znajdować, pomyślałem, łódka jest tylko jedna na jeziorze i ja w niej jestem, chyba, żeby jacyś kłusownicy lub złodzieje ryb... „Hej, a kto tam?" zawołałem głośno. Plusk ustał, zaległa grobowa cisza. Napewno jakieś łotry, skoro nie odpowiadają na wołanie, ale czekam, pilnie nadsłuchując i wpatrując się w miejsce, skąd przed chwilą dochodziły mnie odgłosy pluskania. Powoli, bardzo wolno zacząłem rozpoznawać kontury wysepki znajdującej się o jakieś pięćdziesiąt kroków przedemną. Wtem skamieniałem cały na widok tego, co przy tej wysepce się znajdowało. Właśnie lekki podmuch wiatru rozpędził nieco mgłę i zdało mi się, że widzę przed sobą głowę potwornej ropuchy, głowę większą od łba końskiego, z oczami wprost ku mnie zwróconemi... Przetarłem powieki... Zjawa nie znikała. Powoli sięgnąłem do kieszeni po loftki... To na pewno jakiś głupi dowcip Tadeusza, pomyślałem, ale strzelę w tę maszkarę, choćby on sam w niej siedział. Ręka jednak tak mi drżała, że musiałem przyklęknąć w łódce, by móc wycelować. Z wielkiej emocji pociągnąłem za oba cyngle razem, kopnęła mnie strzelba, że mało z łódki nie wyleciałem... Przy wysepce plusk zrobił się taki, jakby głaz jaki do wody wleciał, woda się zakotłowała; po chwili wszystko ucichło, tafla jeziora lśniła się gładka jak lustro.

*) Białą wronę ubił E. hr. Poniński z Kościelca w majątku Węgierce p. pos. Zbign. Dembińskiego w sierpniu b. r.

Zdenerwowany do najwyższego stopnia, wiosłuję co sił do wysepki, na miejscu potwora nieco piany zaróżowionej krwią, w mule widać odcisk jednej łapy, odcisk większy od śladu słonia...

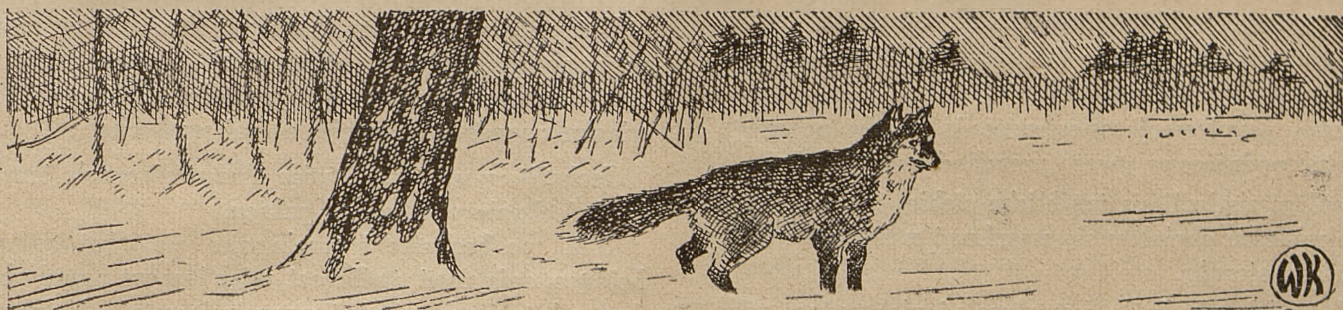
Zdala słychać kanonadę Tadeusza, nademną ciągnie stado za stadem, nie jestem w stanie strzelać... Zaczął deszcz padać... Ile czasu tak zostałem wpatrzony w ślad tego potwora, który zamazywał się pod wpływem deszczu i zalewającej go fali, nie wiem... Z zamyślenia wyrwało mnie wołanie Tadeusza, który nadszedł zaniepokojony ciszą z mojej strony...

No i co ci się stało? — zapytał. — „Ładunki zamokły" — odparłem, gdyż faktycznie torba z nabojami wpadła mi do wody. „To pech, ja zabiłem 20 sztuk a podniosłem 14".

Po powrocie do domu znalazłem w jakimś podręczniku geologji, podobnego potwora... Żył w epoce węglowej i miał dwadzieścia metrów długości...

A teraz, czy mogę komu innemu jak koledze myśliwemu, opowiadać to zdarzenie?

HENRYK TYSZKIEWICZ.



LIS NA STERCIE.

Ostatni kocioł otoczony: po linji rozstawiono ludzi gęsto, bo 14 naganki między myśliwymi.

Po sygnale ruszamy ku środkowi, gdzie stoi sterta, przy której kocioł ma się zakończyć.

Dość jasno jeszcze, aby widzieć zdala już ruszone zające. Pomykają od ludzi do środka i spłoszone widokiem przeciwległej linji naganki, wracają, krzyżując się ze zdążającymi już w przeciwną stronę.

To tu, to tam słychać rozpoczęte strzały, każdy inaczej rozlega się, zależnie od kierunku, z jakiego pochodzi.

Naganiacze dzielą się głośno swojemi wrażeniami i spostrzeżeniami, których coraz więcej przybywa: „O tam trzy w kupie". „A to dostał", „Od jednego strzału!" „O leży" albo „Poszedł", lub niby to szeptem „O idzie, idzie do nas, tutaj, tutaj!" Gorliwe zabiegi mało inteligentnego chłopca, w celu zwabienia zająca ku nam, wprost odwrotny wywierają skutek i zając wykręca zawczasu gdzieindziej.

Znowu strzał słychać i przeciągłe: „Pooosed". „Ahaaa" tłomaczy swoje odkrycie naganiacz: „To ten strzela, co w tamtym kotle szedł przy mnie i ani jednego nie mógł popaść".

Przeważnie jednak, gdzie strzał huknął, w tym kierunku wywracał się pędzący zając, w górę białym brzuszkiem i rozciągał szarą plamką na puszystej bieli.

Wtem po linji dały się słyszeć nerwowe, energiczne wołania: Lis, lis! pilnować, nie robić luk, ochryple głosił strzelec galopujący na zmęczonym koniu wokoło kotła.

I ci myśliwi nawet, którzy zwykle mniej dbali o prawidłowe trzymanie naganki, również czynili starania, aby wyrównać ludzi i zakryć — co większe luki, a cały pierścień coraz się wolniej i uważniej posuwał.

Mimo wszystko. strzały do zajęcy padały na około dość gęsto. Lisa, przez chwilę spostrzegłem, jak przecinał w szybkiem tempie środek kotła, sunąc dłuższą sylwetką niż zajęcza.

Straciłem go z oczu, gdyż zając, który wybrał sobie obok mnie miejsce, gdzie pragnął wydostać się z niemiłego otoczenia, zabrał mi dużo czasu i 4 ładunki.

Naganiacze ciągle oznajmiają o ruchach lisa, którego upatruję przed sobą, bez nadziei zresztą strzelania.

„Łazi teraz po stercie", słychać uwagi.

Jedna była sterta, do której zmierzamy według planu.

Lisa rzeczywiście nie widać w kotle. a choć nie dowierzam temu, co słyszę, spoglądam na stertę, gdzie też go nie widzę. Podobno już zeskoczył; podniecenie udziela się wszystkim, a niektórzy chłopcy specjalnie śledzą lisa i głośno oznajmiają, co widzą.

Już strzelają do niego. I rzeczywiście, któryś z gorętszych myśliwych strzelił zadaleko. Lis zwinął na miejscu i zdrowo wraca do sterty.

„Oo, znowu wlazł na stertę" krzyczą naganiacze.

Pokrywa śnieżna nad ciemną masą czterokątnej sterty, bieli się jak na dachu, a po białem tle śmignęło coś ciemnego, długiego. Znowu zeskoczył i puścił się w upatrzone miejsce, szukając ratunku, ale pierścień ludzi, zaciskający przestrzeń okrągłą, kurczy się miarowo i szczelnie, zbliżając się do środka; krąg staje się mniejszym i zmusza lisa do częstszych nawrotów. Szybko się cofa, spotkawszy ludzi i po raz trzeci znajduje się na stercie. Niesforni kiedyindziej myśliwi, także posuwają się prawidłowo i pilnują naganki. aby szła jak należy.

Pozostała już do przebycia mała część dystansu; obwód kotła tak się zmniejszył, że ludzie co raz bardziej zbliżali się do siebie. Nie było obawy o stworzenie luki, którą mógłby się wymknąć bez strzału zając, a nawet lis. Śmigał on przez środek malejącej przestrzeni, to w jedną, to w drugą stronę; spotykał się już ze strzałami, przeważnie chciwymi, nerwowymi i dalekimi, które przyśpieszały tylko jego zwroty i szybkość biegu. Po ostatnim, niefortunnym dla myśliwego, a szczęśliwym dla lisa strzale, skierował się szybko w stronę sterty i więcej się nie pokazał, ani na bieli wnętrza kotła, gdzie podsuwały się do myśliwych, ginąc, ostatnie zajączki; ani na stercie, która już w promieniu 300 metrów została otoczona ściśniętym pierścieniem ludzi, tak, że mogli podać sobie ręce.

Każdy głosił swoje spostrzeżenia i rady, od czego powstał podniecony gwar przechodzący w hałas.

Myśliwi znaleźli się też blisko siebie, tak, że którędykolwiek lis chciałby się wymknąć z kotła, czekały go cztery strzały.

W środek, do kotła już strzelać nie można, więc naganka ruszyła ku stercie, aby wypchnąć, przypuszczalnie ukrytego gdzieś obok, lisa. Chłopcy, uzbrojeni przeważnie w kije, groźniej niż zwykle, ruszyli do środka. Jedni biegali wokoło sterty, upatrując na niej niesamowicie zaginionego, inni tropili po ziemi, rozgrzebując śnieg, nawet w miejscach, gdzie nie było żadnego otworu, ani śladu, któryby wskazywał, że był tu lis.

Na stercie, na równej bieli, znać było linje ciemnych punktów, jakiemi poprzekreślana była biała pokrywa. Pokazywali to jedni drugim, jako dowód obecności poszukiwanego.

Tymczasem lis przepadł jak kamień w wodzie.

Sytuacja staje się coraz ciekawszą.

Wśród tłumu kręcących się ludzi, krzyki i gwar ustawały powoli, a zawizętość krążących gorliwie poszukiwaczy, poczęła się wzmagać

„Może to ciort?" zapytywali wesoło ciekawsi.

Po chwili, jeden z naganki wskazuje kijem otwór w boku sterty i ogłasza, że tu musiał się schować. Strzelec, prowadzący nagankę, uznał to również za jedyną możliwość i proponuje paru myśliwym stanąć na przeciwko wylotu, a sam ściąga z przykrycia sterty długą tykę i pcha ją do otworu.

Na tle ciemnozielonej ściany seradellanej sterty, na wysokości 1½ metra od ziemi, widać czarny otwór jamy o średnicy ludzkiej głowy, tam zagłębiła się tyka cała, długości około 6-ciu metrów.

Jest, jest, gryzie tykę! oznajmia z radością strzelec.

I w istocie, po wyjęciu tyczki, zauważyliśmy na jej sękatym końcu, parę włosów, pewnie z boku gnieconego zbiega i ślady ostrych zębów.

Niecierpliwi naradzali się, jak go wydostać.

Paru nas, z grona myśliwych, podniosło projekt ułaskawienia sprytnego i przemyślnego mądrali, widząc jednak nastrój otoczenia, myśl tę nieśmiało podtrzymywano, gdyż zawziętość poszkodowanych przez lisie wizyty nie pozwalała wierzyć w powodzenie tej myśli.

Lis zatem nie mógł być ocalony i dla spokoju, wrogo dla niego usposobionych, musiał odpowiadać: jeśli nie za swoje osobiste grzechy, to za przestępstwa swoich współbraci - rabusiów.

Uznaliśmy, że teraz ze strachu nie wyskoczy z kryjówki na strzał; polowy proponuje zostawić straż przy otworze, a sam zamierza sprowadzić swego pieska, aby przy jego pomocy wydostać lisa.

Z każdą chwilą robi się coraz ciemniej.

Myśliwi odnajdują swoje sanie i po 2-ch lub 3-ch udają się do domu, rozprawiając o urozmaiconem zakończeniu dobrego polowania.

Który z myśliwych miał kiedy z lisami jakie ciekawe wspomnienia (a kto ich nie miał!), przypominał sobie; więc w drodze, wszyscy po kolei czuli się w obowiązku opowiedzieć swoje, a inni wysłuchać.

Jechaliśmy we trzech, więc akurat starczyło tematu na dojechanie pod zajazd pałacu.

Tam po herbatce i przebraniu się, już podczas bridgea, dają znać, że lis jest, więc jeszcze przed obiadem zdążyliśmy oglądać przyniesionego. Cięty piesek wyciągnął go z głębi otworu w stercie, gdzie poturbowanie lisa tyką znakomicie jednak musiało ułatwić pieskowi robotę, bo lis był piękny, a bardzo duży, mocny i widocznie stary, czego zresztą dowodziło to, że ratując swoje długie życie, zdążył w niem nabrać praktycznych wybiegów: wskakiwał na stertę, dla badania sytuacji, by z góry przez upatrzone miejsce starać się wymknąć z otoczonej pułapki; a w końcu, ukrył się głęboko w jamie.

Ciekawe tylko, czy jama ta była przez niego z trudem wyszarpana w ścisłej, zleżałej seradelli i używał jej poprzednio, czy tylko sprytnie wyszukana, a wiedząc o niej, użył jej jako ostatni ratunek.

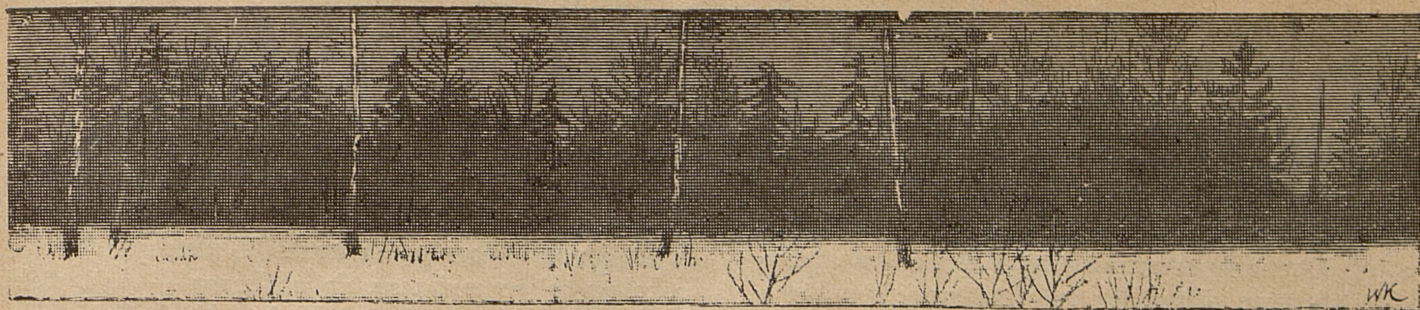
A że przed 200-ma zgórą parami oczu ludzkich, śledzących go chciwie, nie udało się ocalić, to już nie uchybia jego sprytowi.

STANISŁAW LESKI.



Z psami na dzika. Chinocze 1931.

Fot. Wacł. Podhorski.



KAMIL MACKIEWICZ.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Mam przed sobą szereg książek z ilustracjami Mackiewicza. Przedewszystkiem te o treści myśliwskiej. Powoli przerzucam ich karty i wpatruję się ze smutkiem w pracę tego, który tak bardzo myślistwo ukochał, a którego nie masz już dzisiaj między nami.

Na niebie rysuje się sznur gęsi. Na pierwszym planie stoi poleszuk, typowy „had" białoruski. Wiosna. Pierwsze zwiastuny głoszą swe przybycie. Leniwym ruchem zadarł had głowę do góry, bezładnie opuścił ręce i gapi się. Jakże charakterystyczną jest jego sylwetka!

Przez kładkę, rzuconą na moczarach, do tokowiska idzie dwu ludzi. Na przedzie pozornie niezgrabna postać przewodnika, ale w istocie tak pewnie ustawiona na chybotliwych okrąglakach! Dalej przeciwieństwo— miejski myśliwy w pocie czoła przezwycięża ryzykowne przejście. Zwróćcie uwagę na ich ruchy, na sposób używania kija do podpory.

Jakiś pobereżnik z powagą trzyma 2 kaczory. Skąd ja go znam? Ależ znamy go wszyscy. Nie tego naturalnie. Ten jest tylko w swym charakterze identyczny z tamtymi, których widujemy na wschodzie.

Moroz chwycił jakiś głos od puszczy i zastygł. Zwrócił głowę i wązkiemi szparami oczu, chce przeniknąć tajemnicze zasłony porannej mgły. Na drugim planie, nad jeziorem w oddali stoją pojedyncze sosny. Powiedzcie, czy nie tak właśnie złoci wschodzące słońce ich wymuskaną przez wiatr korę?

I dalej szereg innych. Sylwetka łosia łopatacza na skraju puszczy. Między szuwary jeziora zapadają kaczki. Tu znów dwaj pińczucy leniwie pchają swe łódki po szeroko rozlanych wodach. Siano wiozą. Myśliwy za psem, który się ściąga na mszarach. Jakaś barć samotna nad rzeką.

Tylko ten, kto zna Kresy, kto polował na rozległych wodach Piny czy Prypeci, tylko ten ocenić może, ile w tych rysunkach jest wyrazu i charakteru. Doprawdy mówią one więcej niż rozległe opisy etnologów czy geografów. Niedbałym rzutem swej kreski potrafił Mackiewicz uchwycić w sposób nieporównany istotę tego, co chciał oddać.

Dziwny to był człowiek. Jeśli go ktoś znał tylko z miasta, niewątpliwie nie mógł sobie wyobrazić, ile w nim było myśliwca rozkochanego w pierwotnej, dzikiej przyrodzie. Miesiącami siedział w głębi puszcz, na skraju mszarów. Polował. Za nic mu był gwar stolicy.

— Aż nagle zjawiał się w Warszawie i tonął w życiu wielkomiejskiem. Szalał. Roznosił go bujny temperament, jego szeroka, niechcąca uznać opamiętania natura. Tu w zadymionej, rozbuchanej wrzaskliwą muzyką knajpie, rej wodził. Hałaśliwe, tchnące nerwowym ruchem ulice, były mu, zdawać się mogło, do życia nieodzowne. W przyjacielskim domu przy biesiadzie olśniewał swoim kapitalnym humorem, podbijał nieporównanemi zdolnościami opowiadań. Wszędzie go było pełno. Był rozrywany dla swych niezwykłych zalet towarzyskich i tej nadzwyczajnej zdolności wrastania w każdą sytuację, w każde środowisko. Nie przeszkadzało mu to zresztą mówić to, co myślał, prosto w oczy ludziom nieraz przykrą prawdę. Jemu właśnie wybaczano to i szukano jego towarzystwa. Bawił się więc aż do przesytu. Aż nagle znikał.

Daleko stąd zamykały się za nim tajemnicze wrota pierwotnych puszcz. Wchodził w inny świat. Teraz trwał zasłuchany w istotną pieśń życia. Błądził po śnieżnych równinach rojstów. Muzyką była mu gra psów i zawołanie trąbki myśliwskiej. W kureniu budził go klangor żórawi. Roztapiał się w szerokim, smutnym krajobrazie Polesia.

To była prawda. Miasto było narkotykiem. Uciekał od niego i znów powracał. Tak też i ostatnio. Jednak teraz, niestety, zanurzył się, by nie wypłynąć więcej.

Odszedł w pełni sił, przedtem, zanim się wypowiedzieć zdołał. Nie mogę tutaj dawać jakiejś charakterystyki jego twórczości artystycznej, nie jestem zresztą do tego powołany. Podkreśliwszy tylko wielką wartość jego prac, związanych z łowiectwem, zwracam uwagę, że w tym kierunku zaczął się wypowiadać stosunkowo niedawno. Niewątpliwie miał tu jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Przygotowywał właśnie wystawę swych prac myśliwskich. Ano trudno. Los chciał inaczej.

Przedwcześnie jednak tracimy w nim tak wiele. I cały świat myśliwski i ci liczni jego przyjaciele, którym ze swej bogatej natury potrafił szczodrą ręką rozdawać tyle radości życia. Jak dziwne jedenak życie stwarza paradoksy!

Cześć pamięci Kamila Mackiewicza, wielkiego artysty, niezapomnianego towarzysza.

JANUSZ DOMANIEWSKI.

ŁOWY Z SOKOŁY.

Nie mam tu zamiaru rozwodzić się nad przesłością i historja tych zabaw rycerskich. Pragnę jedynie złożyć czytelnikowi wyznanie człowieka, który się tej rozkoszy myśliwskiej oddawał i oddaje. Wyszedłbym daleko poza ramy zwykłego artykułu, chcąc opisać wszystkie sposoby dawnych łowów. Nadmienię tylko, że i dziś jeszcze spotykamy orły ćwiczone do polowania na lisy i wilki stepowe. Są to orły skalne i królewskie. O orle królewskim z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że tresura jego jest bardzo łatwa.

Najbardziej cenione dawniej były sokoły krajów północnych, używane do łowów na czaple, głównie islandzkie i grenlandzkie. Z niewiadomych przyczyn aklimatyzować się u nas obecnie sokoły te nie dają.

Z naszych sokołów na pierwszem miejscu wymieniam wspaniałego sokoła wędrownego (Falco peregrinus), obdarzonego hojnie łowieckimi talentami. Jest szybki, odważny, inteligentny i wierny, ma dobrą pamięć i łatwo oswaja się z warunkami bytu.

Raróg wielki (Falco sacer) do dziś dnia ulubiony ptak myśliwski arabów. Od wielkiego łowczego dworu rumuńskiego miałem w darze kilka rarogów. Nie były tak ostre i ścigłe jak sokół wędrowny, lecz służyły mi wiernie i niejedną rozkosz myśliwską mam im do zawdzięczenia. Były najlepiej oswojone z mojej ptaszarni, — z największej wysokości wiernie i posłusznie zlatywały na pierwsze gwizdnięcie.

Prócz nich mamy jeszcze grupę krótkoskrzydłych krogulców i jastrzębi (Astur palumbarius i Accipiter nisus). Polowano z nimi w średniowieczu głównie tam, gdzie ptaki długoskrzydłe się nie nadawały, t. j. w lasach. Tu wymaga się ataku szybkiego, nagłego, na krótką metę, rozlot musi mieć ogromną szybkość początkową, chwyt zdobyczy energiczny. Tu ptak krótkoskrzydły okazał się daleko lepszym, niż w walce i pościgu w wolnej przestrzeni i na wielkie odległości. Ptaki wybiera się z gniazd, chowa i ćwiczy, wtedy mówi się o gniazdoszach (niem. Nistlinge, ang. Gyesses), lub chwyta dorosłe — i wtedy mamy do czynienia z „dzikusami" (niem. Wildfänge, ang. passage Hawks). Te ostatnie stawiam wyżej, jako lepiej rozwinięte i wytrenowane, ostrzejsze i doświadczeńsze od gniazdoszy, wiernych wprawdzie i posłusznych, ale potrzebujących pilnej tresury i treningu. Zdanie to jest ogólnie podzielane przez „Old Hawkings Club" angielski.

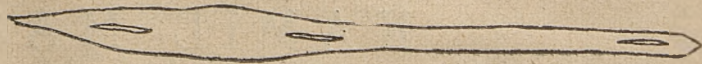
Jak wygląda nauka młodych sokołów przez ich rodziców? Otóż nauka rozpoczyna się z chwilą wylotu z gniazda. Starzy się rozdzielają: jedno wzbija się wysoko ze zdobyczą w szponach, drugie krąży nisko pod niem. Młode polują między rodzicami — i gdy stary ptak w górze upuszcza zdobycz, starają się ją w locie pochwycić. Gdy się to nie udaje, chwyta ją rodzic niżej i wylatuje z nią znów w górę — poczem próba się powtarza. Takiej szkoły praktycznej i poglądowej nie może dać uczniowi choćby najlepszy sokolniczy.

Każdy sokolniczy musi mieć przyrządy pomocnicze, a mianowicie: dobrą i miękką rękawicę skórzaną, pętko z otokiem, grzechotkę i wabik.

Pętko wisi wolno na każdej nóżce nawet podczas łowu. Grzechotka jest niezbędna zwłaszcza w polowaniach leśnych dla łatwiejszego odszukania sokoła.

Bardzo potrzebny i ważny jest wabik.

Składa się z kawałka ołowiu w kształcie podkowy, w który oprawione są skrzydła. W domu zadaje się sokołom mięso uwiązane do podkowy — stąd ptaki znają przyrząd i zlatują doń. Na łowach służy do zwabiania ptaka.









Przyrządy sokolnicze.

Wreszcie kaptur służy do utrzymania ptaka w spokoju.

Obchodzenie się z młodymi ptakami jest niezmiernie trudne. Z gniazda wybierać je należy prawie na samym wylocie. Czasem jednak zachodzi potrzeba wybrania ich znacznie wcześniej. I tu zachodzi trudność największa — dostosowanie pożywienia do wieku i rozwoju. Póki są w puchu, dostają karmę dokładnie rozdrobnioną i absolutnie wolną od złomkow kostnych. Później nieco można im zadawać bity drobiazg jak myszy i wróble — w całości. Bardzo młode trzyma się w sztucznych gniazdach, najlepiej w wysłanym miękko koszu, byle nie był za głęboki, coby przeszkadzało ptakom w oddawaniu kału sposobem naturalnym, czyli poza brzeg gniazda.

Gdy się zaczną rozwijać lotki — należy ptaka brać w rękę niezmiernie ostrożnie. Trochę większy nacisk na młode lotki wywołuje ich zapalenie — w następstwie zaś — nienormalny rozwój — i oczywiście potem słabszą lotność ptaka.

I nieprawidłowe żywienie ma wpływ wielki na roz-

wój lotek. Niechaj ptak przegłoduje jeden tylko dzień, poznać to można na tej części szypułki, która się tego dnia tworzy. Pióro w tem miejcsu zostanie słabsze, i jeśli się kiedy złamie, to tu właśnie. Nieregularne i słabe żywienie ma jeszcze jeden zły wpływ. Ptaki głodne robią się wrzaskliwymi, trudno ich potem od tego odzwyczaić. Sokolniczego poznają łatwo i wyraźnie objajwiają radość, gdy im niesie pożywienie. Jeśli je głaszce i pieści, chętnie same mu siadają na ręku.

Młodym — przybija się przy gnieździe parę listewek. Lubią na nich siadać i poskakiwać, przez co znakomicie rozwijają muskulaturę szponów i nóg.

Tresura.

Rozpoczyna się ją z chwilą, kiedy ptak jest dostatecznie rozwinięty, a upierzenie wykształcone. Wtedy otrzymują pętko i grzechotkę. Tresura jest odmienna u sokołów i u jastrzębi.

Zaczniemy od sokołów.

Gdy sokół już o tyle dojrzeje, że w zamknięciu skacze na nadstawioną rękę — bierze go sokolniczy z sobą pomiędzy ludzi i psy. Z początku sokół się lęka i zeskakuje z ręki na ziemię. Nie należy go wtedy powstrzymywać pętkiem, lecz podnieść z ziemi, upieścić i znów posadzić na ręku. Najlepiej trening towarzyski połączyć z karmieniem — poczem ptaka nasyconego zostawić można na berle, lub w trawie przez cały dzień — oczywiście na otoku.

Następnem stadjum nauki jest pozostawienie ptaka sytego na stanowisku w polu, poczem głodnego na stanowisku z pętkiem lecz bez otoka. Głodny ptak odleci i usiądzie niedaleko na drzewie lub dachu. Sokolniczy na stanowisku (zwykły pieniek) przytwierdza karmę, by ptak jej nie mógł unieść. Uczeń na gwizdnięcie wróci i jest nagrodzony karmą, którą musi spożyć na miejscu. Sokolniczy prowadzi te ćwiczenia 2—3 tygodni—i osiąga to, że uczniowie zupełnie swobodnie polatują i to coraz dalej i wyżej — i wracają. Są już oswojone. Do tej chwili ptak nie łowił nic — był tylko żywiony i to koniecznie obficie i prawidłowo. Zależy to jednak od natury ptaka. Jedne oswajają się na swobodzie — inne znów dziczeją, stronią od ludzi, znają tylko swego mistrza.

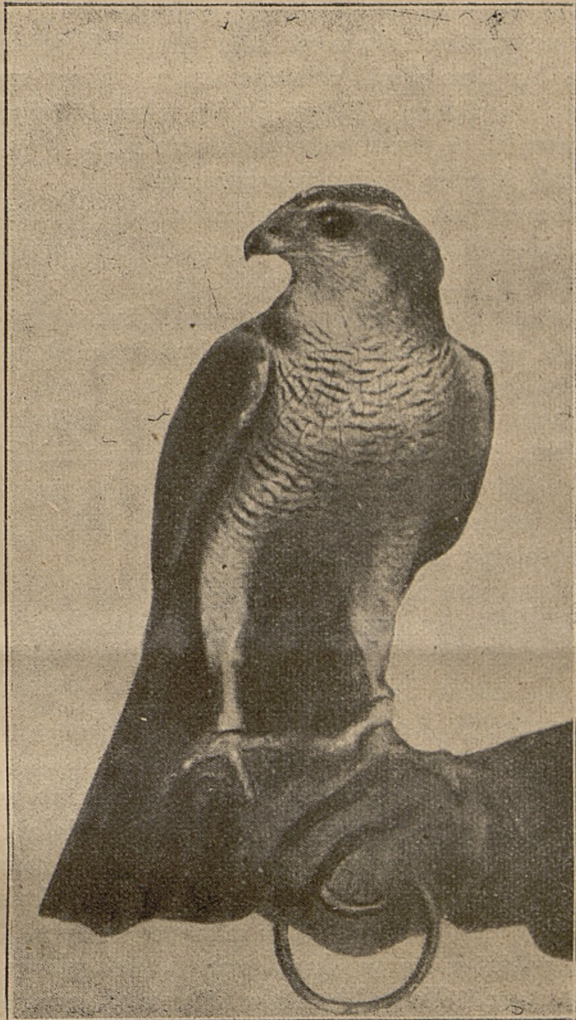
Następuje zapoznanie ptaka z wabikiem. Przytwierdza się na wabik mięso i ptak je na nim spożywa. W połowie spożycia odrzuca się wabik dalej — ptak za nim się rzuca i kończy ucztę. Ćwiczenia te odbywa się wtedy, póki ptak jeszcze głodny, a odrzuca się wabik coraz dalej. Wreszcie — zwabiwszy ptaka siedzącego na ziemi, sokolniczy chowa wabik z kawałkiem mięsa; ptak go szuka, polatując wkoło. Sokolniczy zatacza wabikiem kręgi — ptak go widzi, spada na odrzucony daleko i zjada kawałek mięsa. Wtedy się mówi, że sokół „idzie na wabia".

Ćwiczenia te odbywają się w wolnej przestrzeni. Zwracać należy uwagę na kierunek wiatru — pamiętając o tem, że ptak wybiera zawsze lot pod wiatr.

Na tem kończą się ćwiczenia wstępne — sokół jest opanowany.

Nauka jednak postępuje naprzód. Pozwala się na wolny wzlot ptaka, wabiąc go co pewien czas. Gdy sokół posłusznie wraca, rzuca mu się gołębia z lekko przyciętemi skrzydłami. Sokół go ściga, chwyta i zabija. Ćwiczenie dalsze polega na tem, że sokolniczy zwabia sokoła i wypłasza mu upatrzone stadko kuropatw. Ptak nagłym atakiem rozbija stado, biorąc z niego jedną sztukę.

Tresura skończona — pozostaje jeszcze troskliwa opieka — a więc dostatnie karmienie, kąpiel i wygrzewka na słońcu, co razem wzięte — zapewnia ptakowi największą jego wartość fizyczną — dobre, elastyczne i mocne upierzenie. Jak dalece kondycja jest rzeczą ważną — dowodzi fakt, że angielski „Old Hawkings Club" ma specjalne wagi do sprawdzania kondycji sokołów.



Sokół.

Polowanie z sokołami na kuropatwy jest bardzo ciekawe i daje dużo wzruszeń. Najlepszym okazał się tu sokół wędrowny i to samiec — mniejszy, a szybki, jak strzała. Są dwa sposoby łowów. Wyszukuje się stado, kuropatwy się wypłasza i sokoła niemal rzuca na nie. Wyższy stopień tresury — to „czekanie". Sokół krąży nad panem nieraz bardzo wysoko i na ruszone kuropatwy spada zgóry jak piorun.

Pamiętam, był to cudny, wrześniowy dzień. Mój mały sokół od rana był w doskonałym humorze. Syty i wykąpany suszył się na słońcu, tocząc wzrokiem za każdym przelatującym ptaszkiem. Ledwiem wszedł do ogrodu z psami, już wiedział, co się święci; pod nastroszonemi piórami każdy nerw drgał niecierpliwością. Wziąłem go z sobą i na brzegu wielkiego łanu buraków zdjąłem mu kaptur i rozwiązałem pętka. Wzleciał zrazu nisko, po chwili jednak równą spiralą

począł się wznosić coraz wyżej i wyżej. Już po dwóch kołach był poza strzałem śrutowym. Znać było, że się rozkoszuje przestrzenią, wolnością i lotem. Zdawało się wprost niemożebnem, aby ta mała kropeczka w przestworzu mogła dojrzeć, co się tu dzieje na ziemi. Wtem jeden z psów poskoczył naprzód — przesadził parę redlin i wypłoszył pięć kuropatw. Patrzę w górę. Mój sokolik ze złożonemi skrzydłami spada z góry jak bezwładny kamień. Tuman pierza i stary kogut spada na ziemię, sokół z krzykiem zwycięskim siedzi na nim.

Miałem sokoły, które potrafiły przez trzy kwadranse krążyć nad moją głową, bacząc, czy się co nie zrywa przedemną. Były to jednak okazy wyjątkowe. Przeciętnie sokół tak długo nie wytrzymuje.

Cudne wrażenie dla myśliwego, gdy sokół spada na kuropatwę i po chwili wzlatuje znów, a ofiara spada martwa na ziemię. Zdobycz zabija sokół ściśnięciem szponów, które przenikają zwykle do płuc.

Sokoły bywają bardzo przyjacielskie.

Jedną pustułkę oswoiłem sobie do tego stopnia, że gnieździła się przez trzy lata w ogrodzie obok domu, a pokarm dla dzieci brała z mojej ręki.

Czas tresury jest rzeczą względną. Ptak chwycony w maju — powinien w sierpniu być już ułożony do łowów. Rekord stanowił wielki raróg „Sylwia", pochodzący z Rumunji. Piątego dnia była już Sylwia tak oswojona, że nawet niegłodna przychodziła mi do ręki z każdej odległości. Niestety, skończyła tragicznie. W pościgu za dziką kaczką wpadła do wsi i rzuciła się na gołębie. Strzał i Sylwia nie żyła.

Jeszcze parę słów o jastrzębiach. Z natury są to drapieżniki leśne i sposób ich łowów jest zupełnie inny niż u sokołów. Mając skrzydła krótkie, mogą wykonywać obroty wprost nieprawdopodobne. Sukces łowu zapewnia jastrzębiowi szybki i niespodziany atak, oraz energiczny i mocny chwyt.

Łowy bywają niezmiernie ciekawe. Jastrząb rzuca się na wszystko, czemu jako tako może podołać. Zarówno ściga królika w gęstym podroście, jak bażanta w koronie drzewa, wiewiórkę w dzikich spiralach, oblatując pień drzewa — jak mknącego zająca. Czytałem gdzieś w starych kronikach, że jastrząb nie daje się oswoić. Naopak! Mało który ptak oswaja się tak dobrze jak jastrząb — dowody tego miałem stale przed oczyma.

Z jastrzębiem idzie się na łów pieszo, ponieważ atakuje on z małej tylko odległości. Tresura stosunkowo łatwa — jedynie tylko nie można go zostawiać na stanowisku wolnem, jak sokoła, bo zaraz zaczyna łowić na własną rękę i najczęściej przepada.



Stajki 1931. Fot. dr. K. Wize.

Młode jastrzębie musi sokolniczy bardzo często nosić na ręce i wciąż je pieścić. Głodnego ptaka posadzi na szczycie krzesła, a w ręku trzyma pożywienie. Ptak uczy się siadać na ręku. Nauka powtarza się codziennie — na coraz większą odległość.

Gdy jastrząb jest o tyle oswojony, że przychodzi na rękę ze znaczniejszej odległości, dostaje gołębia z przyciętemi skrzydłami, lub młodego bażanta.

Mam w domu piękną samicę jastrzębią — Meduzę. Była z początku bardzo dzika—rzucała się na psa, pomimo to oswoiła się zupełnie — nie tracąc wrodzonej ostrości.

W końcu listopada złowiła zająca w pierwszym ataku. Ważył 4 kg. Zdobyty był w najtrudniejszych warunkach, bo w gęstych krzakach.

Wielką usługę na łowach z sokołami oddają dobrze ułożone psy, o czem wiedziano już w wiekach średnich. Ptaki szybko pojmują, że pies zwierzynę wynajduje i nie spuszczają go z oka. Puszczone na wolność polatują przed psem z drzewa na drzewo — lub krążą nad nim.

Z sokołami w polu przeżyłem wiele miłych i wzruszających chwil. Lubię broń myśliwską, lecz nie umiałbym strzelić do jastrzębia, taksamo jak do szlachetnego konia lub psa myśliwskiego.

Są to drapieżniki — przyznaję — lecz drapieżniki tak piękne i szlachetne, że zamiast prochu i ołowiu— mam dla nich jedynie szczerą sympatję i podziw.

FR. MINSDORFF-PONILLY.

Spolszczył. WŁ. KARNKOWSKI.



MYŚLISTWO NA KOREI.

O b. państwie Korei, leżącem między wojującemi teraz z sobą Japonją a Chinami, podaje obecnie niemiecka prasa łowiecka trochę szczegółów dotyczących łowiectwa.

Do roku 1912 na Korei nie było ani czasów ochronnych ani żadnego prawa łowieckiego. Ludność miejscowa do polowania używała broni niemal archaicznej. Kulami ołowianemi strzelano do tygrysów, jeleni, dzików, niedźwiedzi.

Za dawniejszych czasów polowano z sokołami na bażanty, z sieciami na jelenie, na nartach z lancami na niedźwiedzie. Lisy i inne zwierzęta futerkowe łapano w potrzaski.

Za sokoła płacono 10 kur domowych; za lepiej ułożonego dawano nawet krowę. Osobnej rasy psów myśliwskich nie było. Za najlepsze uchodziły „wilki" używane do polowań na bażanty.

Za szlachetną zwierzynę uchodzi głównie jeleń Dybowskiego. Poluje się na niego zwykle w lipcu podczas zmiany wieńca.

Za jelenia z wieńcem długim na 20 cm. daje się 15 do 20 krów. „Farba" jelenia uchodzi za cenne lekarstwo. Za litr tej krwi dają 5 do 10 krów. Dziczyzna natomiast przedstawia małą wartość. Krew nabywają tylko bogaci jako środek przeciw osłabieniu starczemu, anemji i tuberkulozie. Pozatem we wschodnio - azjatyckich składach aptecznych sprzedają pigułki ze sproszkowanego roga jelenia, które służą brzemiennym kobietom jako środek do wzmacniania kości embrjonów.

Jelenia Dybowskiego spotyka się w obwodzie Amurskim, Mandżurji i na północy Korei. Najbardziej ceniony jest jednak jeleń spotykany w górach Korei środkowej, gdzie podobno są specjalne rośliny służące jeleniom za żer dający im lepsze zdrowie i dłuższe życie.

Polowanie na te jelenie odbywa się tylko gromadnie. Uczestniczy w niem zwykle 5 myśliwych z przewodnikiem na czele, znawcą tropów. Pozatem używa się około 10 osób naganki.

Po sprzedaży ubitego jelenia, myśliwy, który dał doń strzał śmiertelny, otrzymuje 30% wartości, „tropowiec" — 20%, a pozostali myśliwi — resztę.

W podobny sposób odbywa się polowanie na sarny (Capreolus mandshuricus). Przeważnie jednak poluje tu każdy myśliwy osobno.

Świeża krew sarny służy za lekarstwo przeciw chorobom płucnym, głównie astmie. Dziczyzna jest tańsza niż wołowina. Pomimo że prawo nie zabrania strzelania do kóz, myśliwi tamtejsi nie strzelają ich, gdy one prowadzą koźlęta. W czasie rui myśliwi używają wabików naśladujących głos sarny, żeby przywabiać kozły.

Zające spotyka się na Korei wyjątkowo rzadko.

Dzików natomiast jest bardzo dużo. W niektórych okolicach stada dzicze niszczą ogromne połacie płodów rolnych. Pieczeń z dzika jest tam ulubioną potrawą.

Tygrys (Felis tigris Coreensis) uchodził tam zawsze za „złego djabła". Szczególnie na północy ofiarą tygrysów padają często zwierzęta domowe oraz ludzie. Polowanie na tygrysy odbywa się w rozmaity sposób. Dawny król Korei utrzymywał stale gromadę specjalnych łowców tygrysów. Skóry tygrysie posiadać mogła tylko szlachta koreańska. Lud wierzy, że tygrysa boją się też wszelkie złe duchy. Dla ludu też produkuje się amulety z tygrysich pazurów oprawnych w złoto lub srebro. Kości tygrysa wysyła się do Chin, gdzie sporządzają z nich lekarstwa. Gdy myśliwy z ludu ubije tygrysa, to musi o tem zawiadomić mandaryna, do którego udaje się ze specjalną ceremonją w pełnym rynsztunku myśliwskim w otoczeniu eskorty, siedząc na karku ubitego drapieżnika. Mandaryn uderza myśliwego trzciną trzy razy po ramieniu, poczem myśliwy składa przysięgę, że nigdy już nie ubije „króla gór". Po tej ceremonji mandaryn częstuje myśliwego jadłem i obdarowuje pieniędzmi, materjałem na ubranie i amunicją, za co zabiera tygrysa. Dziczyzna tegoż służy za lek przeciw malarji.

Na niedźwiedzia (Ursus arctos piscator) poluje się w górach, gdy śnieg leży na wysokość kilku metrów. Myśliwi kładą na nogi „solmy", gatunek obuwia wyrabianego z wydrążonych pni drzewnych, długiego na 2½ m., a szerokiego na 25 cm. Do jazdy na tych swoistych nartach używa się też zwyczajnych kijów. Myśliwy uzbrojony jest w lancę długą na 3 m. Gdy cios lancą chybi, myśliwy ucieka na nartach przed niedźwiedziem. Koreańczyk uważa niedźwiedzia za najgłupsze zwierzę. Żółć jego służy za środek napotny, tłuszcz goi opalenizny. Dziczyzny ani skóry nikt nie sprzedaje.

Do zwierząt futerkowych Korei należą: wydra (Lutra lutra), lis (Canis vulpes), żbik (Felis cuptilura) i koszatka (Glis glis). Łapie się je tylko w pułapki. Futerka wysyła się zagranicę. Krajowiec rzadko kiedy je nosi. Futra kuny (Martes martes) nie używa się tam wcale, wyrabiając z sierci jedynie pędzelki.

Z ptactwa najchętniej tam polują na dzikie gołębie, głuszce i 3 gatunki bażantów: Phasianus colchicus, mongolicus i torquatus, których jest bardzo dużo na Korei. Natomiast mało jest bażantów srebrnych. Zazwyczaj tam strzelają do bażantów, ale często polują na nie także z sokołem i jastrzębiem (Accipiter gentilis). Na wiosnę używają wabików na bażanty.

Na wiosnę i jesienią odbywa się ciąg z południa: dzikich kaczek, gęsi („śnieżnych"), 3 gatunków żórawi (Grus leucogeranus, G. leucachen i G. lilfordis). czapli srebrzystych (Herodias), kruków, bocianów (Ciconia alba).

Żóraw uchodzi za symbol czystości i nigdy doń nie strzelają, lecz łowią go w pułapki. Czaple srebrzyste stanowią artykuł wywozowy z powodu bardzo cennych piór.



GODY WESELNE WŚRÓD LASÓW I PÓL.

(Żarciki łowieckie).

BORSUK

Jesień piękna jest na dworze,
Romansuje jaźwiec w norze.
Towarzystwa wciąż unika,
W schronie swoim z lubą znika.
U borsuka przedzimowy
Czas jest piękny, bo godowy!
Potem drzemka już zimowa,
A po drzemce, radość nowa.
W lutym, w marcu, już po krzyku.
Dwoje młodych jest w wyniku.

DZIK

Dzik, to zwykła świnia dzika,
Zrobi świństwo i umyka.
Tak bajają o tem ludzie,
Gdy na czatach siedzą w budzie.
O! przepraszam!... za ten żart
Gwizdem dostać jest pan wart,
Szablą macnąć też po boku,
By zbielało aści w oku.
Byś pamiętał po wsze czasy,
Zajadając z nas kiełbasy,
Nazwa świństwo, wymysł ludzi
Oburzenie wśród świń budzi!

. . . .

W grudniu, kocha pojedynek,
Miłością bucha wycinek,
Samura lochać się poczyna,
Ot i awantur jest przyczyna.
Czasem w końcu listopada
Miłosny szał dzika napada,
Sześć tygodni hece trwają.
W zakończeniu plon też mają,
Bo warchlaków dwanaścioro
Wiosną wodzi cna maciora.

LEON PĘSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOW. ŁOWIECKICH.

PROTOKUŁ

posiedz. Wydziału Wykon. z d. 26.XI.31.

Obecni pp.: mec. W. Garczyński, dyr. B. Gędziorowski, inż. St. Kamocki, inż. K. Knothe, C. Lisowski, J. Skrzypek, mec. A. Tallen-Wilczewski, W. Kiltynowicz.

Na przewodniczącego zaproszono p. mec. A. Tallen-Wilczewskiego.

Przyjęto bez zmian do wiadomości protokuł posiedzenia Wydziału z dnia 20 października r. b.

W charakterze gościa zaproszono na posiedzenie obecnego w lokalu klubowym, p. mec. Łuczyńskiego, wice - prezesa Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

Termin posiedzenia Zarządu Związku wyznaczony został na dzień 4 grudnia. Porządek obrad Zarządu zatwierdzono.

Wydział Wykonawczy zakwalifikował do przyjęcia:

Koło Racjonalnego Myślistwa przy Związku Majstrów Fabrycznych w Łodzi, oraz Sekcję Łowiecką Studentów Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Postanowiono wystąpić na najbliższem posiedzeniu Zarządu Związku z wnioskiem o zaliczenie wymienionych w poczet stowarzyszeń związkowych.

Zakwalifikowano również do przyjęcia Łagiewnickie Kółko Łowieckie z siedzibą w Łodzi, przyczem wniosek w tej sprawie do Zarządu uzależniono od uzupełnienia akt przez wymienione Kółko.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego Wydział Wykonawczy mianował delegatem Związku na powiat Gorlice woj. Krakowskiego — p. inż. Zygmunta Muszyńskiego.

Zatwierdzono kandydatury na delegatów powiatowych:

w powiecie Siedlce woj. Lubelskiego pp.: Juljana Szczygielskiego i Jerzego Laskarysa;

w powiecie Grodno woj. Białostockiego pp.: inż. Jana Jabłońskiego i inż. Romualda Kinle;

w powiecie Konin woj. Łódzkiego — p. Ludomiła Pułaskiego.

Kandydatury te postanowiono ogłosić w trybie normalnym.

Przyjęto do wiadomości rezygnację z mandatu delegata Związku w pow. Konińskim woj. Łódzkiego, p. Tadeusza Krzymuskiego i postanowiono podziękować p. Krzymuskiemu za dotychczasowe pełnienie obowiązków.

Przychylając się do wniosku delegata Związku w pow. Kowel woj. Wołyńskiego, p. Józefa hr. Stadion - Rzyszczewskiego, Wydział Wykonawczy przyznał leśniczemu i łowczemu dóbr Dolskich, p. Janowi Prohasce — złoty medal zasługi za przeszło 30-letnią służbę i gorliwe zwalczanie przestępstw łowieckich i pracę hodowlaną.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie p. dr. Aleksandra Górskiego, oraz p. Emila Karneya za przyznanie im złotych medali za zasługi na polu łowiectwa.

W związku z eksportem zwierzyny żywej zagranicę Ministerstwo Rolnictwa upoważniło Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich do wystawiania specjalnych zaświadczeń. Do wydawania zaświadczeń tych Związek powołał Instytut Łowiectwa, jako fachową swą sekcję.

Wydział Wykonawczy zatwierdził ostateczną redakcję projektu nowelizacji prawa łowieckiego.

Na wniosek p. Lisowskiego postanowiono rozpatrzyć na następnem posiedzeniu Wydziału sprawę asekuracji służby łowieckiej od wypadków. Zdaniem wnioskodawcy, należałoby wyjednać u władz obowiązkową asekurację.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

W Siedliskach, majątku Michała hr. Komorowskiego odbyły się: dn. 23 września polowanie na pędzone kuropatwy. Padło 422 kuropatwy, 2 przepiórki i 1 królik. W polowaniu brali udział: ks. Włodzimierz Czetwertyński, senator Eryk Kurnatowski, hr. Henryk Potocki, hr. Paweł Potocki, p. Tadeusz Siemieński i hr. Konstanty Zamoyski.

Dnia 17 listopada w 2 sztrajfach leśnych zabito: 474 zające, 75 królików, 39 bażantów, 14 kuropatw i 1 słonkę. Polowali: p. Tomasz Karski, hr. Tadeusz Plater-Zyberk, hr. Paweł Potocki, hr. Władysław Potocki, p. Stefan Siemieński i p. Janusz Zdziechowski.

— ac — Dnia 23 listopada odbyło się polowanie w majątku Sobanice pow. płońskiego, własność p. Kazimierza Dziewanowskiego. Zabito 80 zajęcy, 51 bażantów i 7 kuropatw. Królem polowania został p. K. Dziewanowski, mając na rozkładzie 21 sztuk. Zaznaczyć należy, że hodowla bażantów, zaprowadzona przed paru laty, rozwija się bardzo pomyślnie; imponowały myśliwym liczne bukiety zrywających sią kogutów, do których niezawsze celne posyłali strzały. Zasługą jest gospodarza, iż nie szczędzi trudu i energji, aby ta młoda hodowla liczbowo się powiększała.

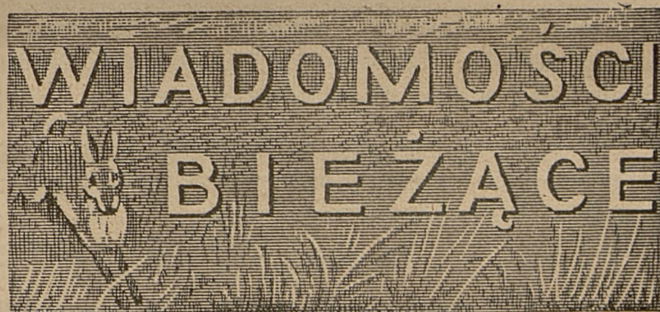
— ac — Dnia 21 listopada odbyło się polowanie w majątku Osiny pow. gostyńskiego. Teren ten dzierżawi grono myśliwych z Płockiego. Zabito 35 zajęcy, 7 bażantów, 7 królików i 11 kuropatw. Królem polowania został p. K. Dziewanowski z Grodkowa.

— ac — Dnia 25 listopada odbyło się polowanie w majątku Leksyn p. Czesława Bejta. Zabito 135 zające, 8 kuropatw i 1 lisa. Królem został p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa, zabiwszy 25 zajęcy.

W dniu 26 listopada r. b. odbyło się polowanie w dobrach Maluszyn, pow. Radomsko, Stanisława hr. Potockiego. W dwuch ławach leśno-polnych ubito w 9 strzelb 1085 szt., a mianowicie 620 zajęcy, 328 bażantów, 115 kuropatw, 21 królików, 1 jastrzębia. W polowaniu brali udział: p. Jan Biedrzycki, Władysław hr. Tarnowski, p. Tadeusz Halpert, Paweł hr. Potocki, p. Hieronim Siemieński, Władysław hr. Potocki, Zygmunt hr. Wielopolski, Benedykt hr. Tyszkewcz jun., p. Janusz Zdziechowski. Najwięcej na rozkładzie mieli, po 156 szt. Paweł hr. Potocki i p. Tadeusz Halpert.

W Sekursku, pow. Radomsko, maj. pp. J. Biedrzyckich ubito dnia 21 listopada r. b. w 22 leśnych miotach w 8 strzelb 1233 szt. w tem: 653 króliki, 344 bażanty, 223 zające, 10 kuropatw, 3 różne. W polowaniu brali udział: Henryk hr. Potocki, Andrzej hr. Morstin, p. Stefan Steinhagen, Władysław hr. Potocki, p. Tadeusz Halpert, Paweł hr. Potocki, p. Konrad Niemojewski, p. Hieronim Siemieński. Królem polowania był Paweł hr. Potocki, mając sztuk 214.

Dnia 30 listopada na terenach, dzierżawionych przez Serockie Kółko Myśliwskie padło przy 7 strzelbach: 76 zajęcy, 40 kuropatw, 1 bażant.



— **Krwawy pocałunek jelenia.** — Dnia 21 listopada 31 r. podczas polowania z naganką na zające i króliki, w lasach majętności Obra pod Wolsztynem jeden z młodych naganiaczy w gęstym zagaju spotkał się nos w nos z leżącym jeleniem; spłoszony dotknięciem zwierz, musnął nosem twarz chłopaka, który upadł zemdlony, z twarzą, zalaną krwią, mając dwa zęby wybite i nos stłuczony. Szczęście, że jeleń nie uderzył chłopiec byłby życie utracił na miejscu. Wypadek to niezwykły, aby stary, zdrowy byk, przyczaił się jak królik, i dał się wydeptać hałasującej nagance.

FRANC. STACHECKI leśniczy.

— **O dzierżawy polowań.** — Poważny organ konserwatystów wielkopolskich, „Dziennik Poznański" wystąpił z protestem w sprawie nieodpowiedniego wydzierżawiania polowań, pisząc między innemi:

„O zaniku poczucia i godności narodowej świadczy fakt wydziedżawienia polowania przez Spółkę Łowiecką w Piotrówce (pow. Kępno), jednemu z hakatystów niemieckich. Jedna z sąsiednich wiosek zamierza rzekomo postąpić podobnie, mimo iż tam, jak w Piotrówce, są kandydaci — polacy. Niemcy pograniczni starają się zdobyć jaknajwiększe tereny łowieckie, aby potem urządzać huczne polowania, w których uczestniczą licznie ich ziomkowie z za kordonu".

— **Podatek od psów.** — Polska Liga przyjaciół zwierząt wystosowała memorjał do Rady miejskiej w Warszawie, w którym występuje przeciwko projektowi podwyższenia podatku od psów w m. stoł. Warszawie.

— **Z warszawskiego zwierzyńca.** — 2 lwy wypuszczone będą z klatki na otwarty teren. Pomieszczenie dla lwów na wolnem powietrzu urządzono między małpiarnią a pawilonem dla drapieżców. Teren ten odgrodzony jest rowem, wypełnionym wodą, szerokości około 5 metrów, głębokości przeszło 3 metry. Wzdłuż całego rowu wzniesiona jest barjera. Na tym nowym terenie znajdują się również dwa ogrzewane schrony, gdzie lwy będą mogły przebywać w czasie bardzo silnych mrozów.

Miejski Ogród Zologiczny, dbając o rozrywki dla dzieci i młodzieży, uruchomi w okresie zimowym jazdę saneczkami pociąganemi przez koniki i osiołki. Jazda będzie mogła odbywać się również na nartach pociąganych przez te zwierzęta.

Do Ogrodu Zoologicznego przybędzie w najbliższym czasie, ofiarowany mu orzeł, złapany w okolicach Lwowa.

Budowa toru dla wyścigów psich na terenie dawnego Luna Parku została ukończona. Długość toru wynosi 150 metrów. Obejmuje on 8 psich klatek. Pierwsze wyścigi psie urządzone będą na wiosnę.

— **Z tajemnic numerów niedoręczanych prenumeratorom.** — Jedno z pism satyrycznych podaje następującą rozmowę charakterystyczną:

Na prowincji:

— Patrz, mężu! Z całej gazety dostały nam się tylko ogłoszenia.

— Nic dziwnego. Naczelnik poczty lubi artykuły wstępne, pomocnik jego — szarady, żona — powieści, woźny — wiadomości bieżące, a ogłoszenia to już dla nas abonentów.

ZAWODY STRZELECKIE WARSZAWSKIEGO KOŁA MIĘDZYKORPORACYJNEGO.

Dnia 22 listopada odbyły się III doroczne zawody Warszawskiego Koła Międzykorporacyjnego. Tytuł mistrza W. K. M. na rok 1932 zdobył Świętorzecki Zygmunt (Arkonja) 92 pkt. przed Gutowskim St. (Jagiellonja) 91 pkt. i Mockusem Zb. (Arkonja). Puhar przechodni Polskiego Związku Korporacyj Akademickich zdobył zespół Arkonji (skład: Świętorzecki 92 pkt., Mockus 88 pkt. i Rudnicki 79 pkt.). Pierwsze miejsce z pistoletu zajął Gendźwiłł z K. Nationalitas.

W latach ubiegłych mistrzami strzeleckimi Warszawskiego Koła Międzykorporacyjnego byli H. Tyszkiewicz (1930 r.), Sparta i J. Morzycki (1931 r. z Sarmatji).

Na zawodach z broni długiej były używane wyłącznie naboje produkcji krajowej, przyczem zaznaczyć musimy, iż nie ustępują w jakości amunicji zagranicznej, choć są prawie dwa razy tańsze.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Z sezonu futrzanego.** — Sezon na towar futrzany rozpoczął się w tym roku jak zwykle, z początkiem września. Z powodu silnego spadku cen surowców (około 50%), który zaznaczył się na aukcji w Londynie, solidni kupcy, z obawy przed dalszym spadkiem, wstrzymywali się od większych zakupów, zaopatrując się tylko w towary najpotrzebniejsze, stale wielkim zbytem się cieszące. Wprawdzie na powtórnej aukcji ceny się poprawiły, mimo to kupiectwo wstrzymywało się nadal od zakupów, a tranzakcje nie osiągnęły tych rozmiarów, co w latach poprzednich.

Perspektywa na przyszłość nie przedstawia się różowo, z powodu ogólnego wstrzymania kredytów ze strony zagranicznych dostawców.

— **Hodowla piżmowców.** — Do celów hodowlanych używa się piżmowca albo brunatnego z Kanady albo czarnego ze Stanów Zjednoczonych. Hodowla może pójść w dwóch kierunkach: albo się go chowa w ogrodzonych stawach zarośniętych i bagnach, albo w klatkach. Hodowla piżmowców jest jedną z najłatwiejszych hodowli zwierząt futerkowych, bo nie są zbyt kosztowne jako materjał rozpłodowy, a pozatem są dobrze płatne i poszukiwane na rynku futerkowym. Cena za materjał rozpłodowy: Czarne prima klatkowe 750 — 780 zł. para; bronzowe, kanadyjskie, klatkowe 500 — 550 zł. para; zwykłe z ogólnych wybiegów 180 złotych para.

Sprostowanie. W Nr. 50 „Łowca Polskiego" na stronicy 1008 w 2-ej szpalcie w 14 wierszu od dołu zamiast „Łowcu P.", powinno być: „Łowcu", a w 12-ym wierszu, zam. „ryczący" — „nieryczący".

KOMITET REDAKCYJNY: J Błeszyński, K. Czampe, J. Domaniewski, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, W. Gieysztor, I. Gymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, red. St. Krzywoszewski, prof. dr. E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło i dr. St. Zaborowski.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5- pop. W redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Do PP. Prenumeratorów.

Stosownie do zapowiedzi w poprzednim numerze „Łowca Polskiego", bieżący numer podwójny, 51—52, jest ostatni w roku bieżącym, gdyż w przyszłą sobotę, z powodu święta Bożego Narodzenia „Łowiec Polski" nie wyjdzie.

Do numeru dzisiejszego załączamy dla wszystkich „Spis rzeczy" za rok 1931 „Łowca Polskiego".

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji z **ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

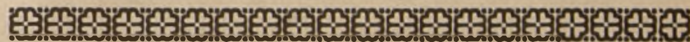
Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3.60 zł. **„Kruk"** — 4.50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwie-rzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

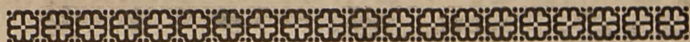
Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.






PWP


PWP



Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15